

DOŚWIADCZONY KOBIECIARZ POMOŻE JEJ ZDOBYĆ WYMARZONEGO FACETA

# UKŁAD Z CAMERONEM

SLOW BURN #2

J.T. GEISSINGER



Copyright ©

J. T. Geissinger

Tytuł oryginału:

*Melf for You*

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Joanna Tykarska

Korekta:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-589-1

**J. T. GEISSINGER**

# **UKŁAD Z CAMERONEM**

**SLOW BURN #2**

**TŁUMACZENIE  
MALWINA STOPYRA**

**OŚWIĘCIM 2021**

*Dla Jaya, za to, że nauczył mnie, jaki jest,  
i nie jest, prawdziwy mężczyzna.*

# JEDEN

## DZIESIĘĆ POWODÓW, DLA KTÓRYCH ŚWIĘTA SĄ DO KITU

1. Jestem gruba. Mimo że nienawidzę tego przyznawać, zostało mi to wyłożone z brutalną precyzją przez babunię Gums, kiedy zobaczyła mnie podczas Święta Dziękczynienia i powiedziała, rechocząc: „Wygląda na to, że ktoś już zjadł indyka!”. Złożyłabym to na karb jej demencji, ale zdjęcia, które mama przysłała mi tego ranka, dają niezbity dowód na to, że w którymś momencie, w ciągu ostatnich kilku lat, zaczęłam alarmująco przypominać zwierzę gospodarskie.
2. Śnieg. Na Manhattanie śnieg nie jest biały. Jest byle jaki i buro brązowy, jak moje włosy. (Do zapamiętania: zadzwonić do fryzjera. Rude???)
3. Świąteczne filmy. Dlaczego *Kevin sam w domu* jest uznawany za dobre świąteczne kino? Kevin McCallister i jego rodzeństwo powinni zostać adoptowani przez jakichś bardziej zaangażowanych krewnych. A *To wspaniałe życie*? Przykro mi, ale ktoś musi to powiedzieć: George Bailey to fiut. W całym filmie istnieje mnóstwo przykładów jego fiutowatości, mogłabym stworzyć całą listę. Jeden z moich ulubionych cytatów: „Nazywasz to szczęśliwą rodziną? Po co nam te wszystkie dzieci?” Miłość czuć z daleka, Supertatusiu.
4. Świąteczne zakupy. Znane także jako „Stoisz w kolejkach, aż zdechniesz”, świąteczne zakupy zawierają w sobie trzy moje ulubione elementy: wrzeszczące dzieci, wściekłe mamuśki i ja, bez celu krążąca po zatłoczonej, publicznej przestrzeni

aż zacznę ociekać potem. Grudzień w centrum handlowym to jakby połączenie *Igrzysk śmierci* z *Władcą much*, a wszystko to uzupełnione rekonstrukcją *Wyścigu śmierci* na parkingu, kiedy w końcu próbujesz wyjechać po dwunastu godzinach wydawania pieniędzy, których nie masz. Ubaw po pachy.

5. Biurowe imprezy świąteczne. Och, świetnie! Niezręczne, wymuszone konwersacje ze współpracownikami, których chciałabym wyrzucić z grona znajomych na Facebooku.
6. Świąteczne piosenki. Są okropne i przygnębiające. Jako idealny przykład przedstawię tu tekst piosenki *Do They Know It's Christmas?* zespołu Band Aid: „Za oknem jest świat/ I to świat pełen lęku i strachu/ Gdzie jedyną płynącą wodą są kłujące łyzy żalu/ A świąteczne dzwony, które tam biją/ To dźwięczące kuranty zguby”. Przepraszam, ale idę skoczyć z gzymsu.
7. Święty Mikołaj to kłamstwo.
8. Pocałunek o północy w sylwestrową noc? Mam większe szanse, że uderzy we mnie zbłąkana asteroida.
9. Michael nadal mnie nie kocha.
10. Patrz punkt pierwszy.

– Jocelyn!

Słyszając ten głos, wystraszona podnoszę głowę znad mojej listy. To Portia – chuda jak szprycha, elegancka, blond dyrektor wydawnicza. Portia pochyla się nad moim biurkiem, uśmiechając się w sposób, który sprawia, że czuję się skrępowana i zakłopotana, atakowana przez jej fizyczną perfekcję i poczucie, że jestem w porównaniu z nią ohydna.

Ta kobieta wygląda jak po retuszu. Ja mam boczki, pory, w które mogłoby wpaść małe dziecko, i kocią sierść na swetrze. Normalnie nie pozwoliłabym jej tak się zbliżyć, ale wiedźma podkrađła się.

– Cześć, Portia. – Zerkam na nią, po czym nerwowo poprawiam okulary. To okropne, jak ona potrafi materializować się znikąd, jak Drakula. A do tego zirytowała mnie, używając niewłaściwego imienia. Znowu.

– Mogłabyś rzucić okiem na ten rękopis? Maria dzwoniła, że jest chora, a my już przekroczyliśmy deadline. – Nie czekając na odpowiedź, upuszcza grubą, spiętą stertę papieru na moje biurko, dokładnie na sporządzaną przeze mnie w żółtym notatniku listę. – Potrzebujemy to na poniedziałek.

– Poniedziałek? – Wpatruję się przerażona w niebotycznych rozmiarów stertę.

– Dzięki! Jesteś świetna! – Portia odwraca się, by odejść.

Wstaję gwałtownie, przewracając przy tym krzesło. No oczywiście, że tak. Upada na podłogę, a wszystkie głowy zwracają się w moim kierunku. Siedzę w samym środku pomieszczenia pełnego boksów, na trzydziestym trzecim piętrze budynku Maddox Publishing, w którym pracuję od dziesięciu lat. Jest czwarta, piątkowe popołudnie, a ja zaraz zrobię z siebie idiotkę.

Czyli to zupełnie normalna sytuacja w świecie Joellen Bixby.

– Czekaj! – wypalam.

Portia zatrzymuje się, odwraca powoli na swoich czerwonych szpilkach, które prawdopodobnie kosztują więcej niż kwota na moim czeku z wypłatą, potem kładzie dłoń na kościstym biodrze i wpatruje się we mnie z uniesioną brwią.

Mając świadomość ciszy, która nagle zapadła, oraz wpatrujących się we mnie oczu współpracowników, odchrząkuję.

– Mm, ja, yyy, nie sądzę, żebym zdołała skończyć to do poniedziałku.

Wszystkie spojrzenia ochoczo przenoszą się na Portię, która właśnie wpatruje się we mnie wzrokiem o temperaturze góry lodowej.

– Nie sądzisz?

Mówi to tak, jakby moje umiejętności poznawcze były czymś wątpliwym. Ktoś w boksie obok kaszle w rękę, żeby zamaskować śmiech.

– Ja... to znaczy, mam już mnóstwo pracy z innymi projektami, a ten wydaje się dość pokaźny... musiałabym pracować cały weekend.

Portia obrzuca mnie spojrzeniem, które mogłoby sprawić, że łany zbóż na polach zwiędną.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś w stanie sprostać swojej pracy? Zgadza się?

Wszędzie wokół mnie narastają szepty. Kropla zimnego potu przesuwają się pomiędzy moimi łopatkami, a na policzki występuje żar.

– Nie, ja... z pewnością uda mi się to zrobić. Do poniedziałku.

– Z samego rana – oznajmia Portia takim samym tonem jak ktoś, kto właśnie celuje bronią w kasjera i mówi: „Dawaj kasę”.

Przełykam ślinę. A właściwie biorę haust powietrza jak złota rybka. Potem przytakuję, ale Portia już tego nie widzi, bo odwróciła się i wyszła.

Rzucam się na swoje krzesło, by uniknąć wszystkich tych spojrzeń i uśmiezków skierowanych w moją stronę, a potem garbię się żałośnie przy biurku jak Quasimodo. Pozostaję w tej pozycji przez kilka minut, w ciszy nakazując dłoniom, żeby przestały drżeć, a żołądkowi by się uspokoił, jednocześnie wpatrując się w przypięty do szarej ściany mojego boks kalendarz przedstawiający Grumpy Cat w dwunastu wydaniach. W grudniu kot ma na sobie strój Mikołaja wraz z małą, czerwoną czapeczką i czarnymi butami.

Kalendarz to prezent od mojej matki. Musiałam zrobić coś naprawdę okropnego w poprzednim wcieleniu.

– Dlaczego po prostu nie odmówiłaś, Joellen?

Sue Wong, niedawna absolwentka uniwersytetu i najmłodsza osoba awansowana na stanowisko redaktora do spraw przejęć



w osiemdziesięcioletniej historii Maddox Publishing, stoi w wejściu do mojego boks. Sue ma błyszczące czarne włosy, które spływają jej na ramiona i tak równiutką grzywkę, jakby została przycięta ostrzem X-ACTO, oraz urocze dołeczki sprawiające, że wygląda o wiele młodziej niż na swoje dwadzieścia trzy lata.

Jestem obłądnie zazdrosna o te dołeczki. I o to, że może pochłonąć jakieś pięć tysięcy kalorii dziennie i nie przytyć ani grama. A także o to, że ani trochę nie boi się Portii, Królowej Smoków Upper East Side, jak również każdego innego miejsca, przynajmniej jak dla mnie.

– Bo stąd wylecę, jeśli odmówię! A mam na głowie takie małe drobiazgi zwane rachunkami? Czynsz? Słyszałaś o tym?

Sue w ogóle nie przyjmuje do siebie mojego rozumowania i macha ręką lekceważąco.

– Pff. Nigdy cię nie zwolnią. Harujesz jak wół.

Przez jedną nieprzyjemną chwilę wyobrażam sobie siebie jako wielkiego woła: z parą buchającą z nozdrzy, błotem lecącym mi spod kopyt, kiedy z mozołem ciągnę wóz załadowany skrzynkami Budweisera.

– I jesteś tutaj od zawsze – ciągnie Sue. – Poza tym, jesteś w chronionej grupie. Portia nie chciałaby ryzykować pozwu sądowego.

Wpatruję się w nią szczerze zdumiona.

– A w jakiej to chronionej grupie jestem?

– Ze względu na wiek – odpowiada, jakby to było oczywiste.

– Wiek?

– No tak. Przecież jesteś totalnie stara.

– Mam trzydzieści sześć lat!

– Och. Naprawdę? – Ogląda mnie z góry do dołu. – Hmm.

– Dzięki. Skończyłaś już tę motywującą przemowę? Bo mam sporo pracy – mówię oschle.

– Chciałam tylko zapytać, czy masz ochotę po pracy pójść do tego nowego baru z tapasami. Kilka osób idzie na *happy hours*.

Jest dla mnie miła, bo jestem taka żałosna, a przez to czuję się jeszcze gorzej.

– To urocze, że zawsze o mnie myślisz, ale... – Wskazuję bezradnie na stos papierów, które Portia zostawiła na moim biurku.

– Dobra. Może następnym razem. – Sue odchodzi, wzruszając ramionami i uśmiechając się.

Kilka kolejnych godzin spędzam przy biurku z nosem utkwionym w kartkach. Ślęczę nad tym jeszcze długo po wyjściu pozostałych. Dłużej niż każda normalna osoba, która spakowałaby wszystko i zabrała do domu. Możliwe, że swoją normalność pochłonęłam razem z kubłem lodów podczas wczorajszej kolacji.

\*\*\*

Kiedy docieram wreszcie do swojego mieszkania, odczuwam taki ból głowy, jakby seryjny morderca wiercił dziurę w czubku mojej czaszki zardzewiałym wiertłem polanym pikantnym sosem. Planuję zjeść coś, przespać się kilka godzin i skoro świt wrócić do biura, żeby kontynuować pracę nad manuskrytem. Zwykle mogę pracować nad swoimi projektami z domu na komputerze, ale z przyczyn bezpieczeństwa wersji papierowych nie wolno wynosić z budynku, więc zostałam uziemiona przy swoim biurku.

*Dziękuję ci, Portia.*

Kiedy tylko wychodzę z windy, słyszę muzykę. Jest niesłychanie głośna i huczy od basów – jakiś rock. A może rap. Nie jestem pewna. Wiem tylko, że tekst zawiera słownictwo, które sprawiłoby, że mojej matce włosy stanęłyby dęba.

Idąc korytarzem, z przerażeniem stwierdzam, że muzyka wydobywa się z mieszkania dokładnie naprzeciwko mojego. Zważywszy na głosy i ochryply śmiech, mój sąsiad nie jest sam.

*Kellen nigdy nie robi imprez.*

Zirytowana podwijam rękaw płaszcza, po czym zerkam na zegarek. Rozważam, czy powinnam zapukać do jego drzwi, ale mój brzuch wydaje z siebie jakiś agresywny odgłos, który przebijają się nawet przez grzmiący bas. Stwierdzam więc, że najpierw coś zjem, a z Kellenem rozprawię się z pełnym żołądkiem.

Nawet w obliczu wojny nuklearnej moją pierwszą czynnością byłoby jedzenie. Nie potrafię radzić sobie z życiem na głodnego.

Kiedy tylko otwieram drzwi, Pan Bingley atakuje.

– Rrau! – Staje na tylnych łapkach, wbijając pazury w moją spódnicę.

– Wiem, skarbie, przepraszam za spóźnienie. Mamusia od razu cię nakarmi, dobrze?

Kolejny ryk mówi mi, żebym lepiej właśnie to zrobiła, bo rozpęta się piekło.

Drapię Pana Bingleya za uszami, mówiąc do niego jak do dziecka, bo to właśnie lubi, a on z rozkoszą zatapia pazury jeszcze głębiej w mojej spódnicy, na co krzywię się z bólu, i w ten sposób balans odwiecznej kocio-ludzkiej relacji zostaje zachowany. Ma szczęście, że jest taki uroczy, bo mogłabym... nic. Nie ma, o czym mówić.

Jeśli chodzi o Pana Bingleya, oboje wiemy, że to on rządzi.

Zamykam drzwi wejściowe, rzucam torebkę na stolik w przedpokoju, unikając swojego odbicia w lustrze, po czym wieszam płaszcz w szafie. Następnie zmierzam w stronę kuchni, a Pan Bingley depcze mi po piętach.

Jest despotycznym, pulchnym, rudym, pręgowanym kotem z bursztynowymi oczami i ogonem przypominającym pióropusz. Jest też kompletnie głuchy – nieszczęśliwy efekt uboczny antybiotyku, który przepisano mu na infekcję ucha. Jednak wydaje się, że mu to nie przeszkadza, chyba nawet nie zdaje sobie sprawy ze swojej ułomności. Myślę, że nauczył się czytać z ruchu warg.

Jedyny problem polega na tym, że nie mogę podkraść się do niego od tyłu. Raz kiedyś go wystraszyłam, to skoczył na zasło-

ny, wczepił się w nie pazurami, a potem, zwisając, toczył dzikim spojrzeniem dookoła i syczał.

– Masz szczęście, że nie słyszysz tej muzyki – mówię do niego, wyjmując z szafki puszkę kociego żarcia. – Ktoś tu brzmi, jakby miał problemy z radzeniem sobie z gniewem.

Pan Bingley wije się wokół moich kostek, mrużąc i ocierając głową o moje nogi. Nakładam karmę do jego specjalnej porcelanowej miseczki, stawiam na podłodze, po czym z uśmiechem patrzę, jak zabiera się do jedzenia.

A potem podskakuję na dźwięk kobiecego krzyku.

– Co u diabła? – Biegnę do wyjścia. Moje serce łomocze, kiedy przywieram do drzwi i patrzę przez wizjer. Korytarz jest pusty. Otwieram drzwi, po czym ostrożnie wystawiam głowę. Wtedy słyszę kolejny krzyk, tym razem przy akompaniamencie kobiecego śmiechu i chóru męskich drwin.

Odgłosy pochodzą z mieszkania po przeciwnej stronie korytarza.

Doznaję ulgi, że nie mam do czynienia z morderstwem, tylko z imprezą, która wymknęła się spod kontroli, po czym zaczynam kipieć ze złości. Wyobrażam sobie dmuchany basen dziecięcy wypełniony kisiem na samym środku salonu Kellena, w środku mocują się dwie nagie dziewczyny, a wokół grupa kołesi oblewa je szampanem i obrzuca banknotami.

Zanim zdążę się powstrzymać, przechodzę przez korytarz, a następnie energicznie stukam w drzwi Kellena.

Muzyka nie cichnie, ale po chwili słyszę zbliżające się ciężkie kroki. Potem drzwi się otwierają, a ja stoję oniemiała.

W wejściu stoi mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Jest wysoki, szeroki i mocny jak góra. Ma potargane brązowe włosy, piwne oczy, mnóstwo tatuaży i olśniewający uśmiech, co mój mózg zauważył w tym samym czasie, kiedy stara się przetrwać, że mężczyzna ma na sobie niezasnurowane wojskowe buty, kilt i nic więcej.

W tych kanionach między jego mięśniami brzucha można by się zgubić. Jeśli ma jakikolwiek tłuszcz, to musi być ukryty pod kiltem, bo jego mięśnie są tak wyraźne, że wyglądają jak na rysunku anatomicznym.

Wpatrując się z otwartymi ustami w jego brzuch, wyduszam:

– Yyy...

– W czym mogę ci pomóc, dziółcha? – pyta Góra.

*W czym mogę ci pomóc, dziółcha?*

Dobry Boże, to Szkot. Wielki, półnagi Szkot w kilcie. Uśmiecha się, jakby znał wszystkie moje sekrety, wiedział, jaki mam kolor majtek i że jestem ciekawa, jak by to było, gdyby mężczyzna ciągnął mnie za włosy podczas seksu.

– Yyy...

– A wybaczone, chodzi o muzykę, ta? Mamy tu taką maleńką imprezkę. Załatwię to. – Odwraca się, po czym ryczy przez ramię: – Ściszczone tę cholerną muzykę, durne sieroty, przeszkadzacie sąsiadom!

W mieszkaniu znajdują się osoby obu płci, w różnych stadiach negliżu. Piją i śmieją się. Leżą na kanapie albo siedzą na podłodze ze skrzyżowanymi nogami wokół stolika kawowego, na którym blondynka z niewiarygodnie ogromnym gołym biustem rozdaje karty.

Zaczynam mrugać, jakbym próbowała przekazać coś alfabetem Morse'a.

Muzyka cichnie o jeden decybel, a Góra odwraca się do mnie z triumfalnym uśmiechem. Lekko kołysze się na piętach. O ile nie spryskał się wodą kolońską o zapachu słodu z jęczmienia, to wypił okropnie dużo piwa.

Zanim zdołam odzyskać zdolność mówienia, Góra głośno beka, salutuje, a następnie zatrzaskuje mi drzwi tuż przed nosem.

## DWA

Kiedy następnego ranka o piątej dzwoni budzik, zostaje wyrwana z niepokojącego snu o Melu Gibsonie prowadzącym do boju grupę tęgich wojowników w kiltach. Jest tam mnóstwo włóczy, wrzasków i niebieskiej farby na twarzach oraz ohydne bekania.

Sięgam po iPhone'a, który leży na stoliku nocnym, przy okazji zrzucając go na podłogę.

– Panie Bingley. – Lekko szturcham futrzaną kulę drzemiącą na mojej piersi. – Panie Bingley, obudź się.

Unosi pyszczek nad łapkami i mruga, a potem ziewa szeroko, kładąc uszy po sobie i ukazując kły. Następnie z powrotem kładzie głowę i spokojnie wraca do snu.

– Panie Bingley – nalegam, głaszcząc go po policzku. – Muszę wstać. – W odpowiedzi słyszę lekkie chrapnięcie.

– No dalej, koteczku, mamusia musi iść do pracy i zarobić na twoją karmę. Chyba nie chcesz głodować, co?

Czasami, jak teraz, zastanawiam się, czy jego słuch nie jest lepszy, niż to pokazuje, bo w odpowiedzi na moje pytanie zostaje uderzona ogonem w twarz.

– Nie zostawiasz mi wyboru. – Przekręcam się na bok i zrzucaam kota. Zeskakuje bez problemu, obdarzając mnie lekkim oburzonym burknięciem spowodowanym moimi złymi manierami.

Podnoszę telefon z podłogi, po czym przysuwam go pod sam nos, szukając przycisku, żeby wyłączyć budzik. Biorę okulary ze stolika nocnego i nakładam je, by móc zobaczyć pokój.

Pan Bingley siedzi na końcu łóżka, patrząc na mnie tak, jakbym uraziła jego wspaniałych przodków.

– Wiem, nieposłuszna ze mnie niewolnica. Chodźmy na śniadanie.

Drepczę do kuchni z kotem przy nodze. Karmię Pana Bingleya, potem robię sobie kawę i czekam, aż resztki z wczorajszej kolacji zagrzeją się w mikrofalówce. Zrobiłam klopsy – przepis mojej babci, najlepsze jedzenie na pocieszenie na świecie – i wsłuchiwałam się w odgłosy imprezy po drugiej stronie korytarza. Kusilo mnie, żeby zadzwonić na policję, ale poczułam się jak zrzęda, więc przez kolejne godziny cierpiałam z powodu krzyków i śmiechów, aż wreszcie wszystko ucichło około pierwszej w nocy, bo, jak przypuszczam, wszyscy odlecieli.

Albo cokolwiek ludzie robią po ekscytującej partyjce rozbieganego pokera.

Wpycham sobie do ust kawałek klopsa, kiedy dobiega mnie odgłos trzaśnięcia drzwiami w korytarzu. Ciekawa, by zobaczyć, kto odbywa spacer hańby kwadrans po piątej w sobotę rano, zmierzam do drzwi z talerzem, po czym zerkam przez wizjer.

Po drugiej stronie korytarza stoi Góra. Ma na sobie szarą koszulkę i pasujące do niej spodnie dresowe. W uszach ma słuchawki i wstukuje coś na telefonie. Przesuwa palcem po ekranie, jakby czegoś szukał. Muzyki?

*Czy on zamierza biegać?*

Nie. To niedorzeczne. Słońce nawet jeszcze nie wstało. Jest grudzień, zdziwiłabym się, gdyby temperatura na zewnątrz sięgała powyżej zera. Nie zapominajmy też o tych cyckach i piwach z ubiegłej nocy. Prawdopodobnie ma teraz okropnego kaca, nie wspominając już o nieznośnym pieczeniu w okolicy krocza. I na pewno nie spał dłużej niż cztery godziny. Zapewne tylko wybrał się do Starbucksa.

Odnajduje to, czego szukał w telefonie, wkłada go do kieszonki na biodrach, a następnie zaczyna ćwiczenia rozciągające.

Nie trzeba się rozciągać, żeby iść po kawę.

*Ten facet rozciąga się na korytarzu o piątej piętnaście rano w sobotę po nocnej balandze, przygotowując się do bieganina przed świtem na mrozie.*

Ewidentnie nie jest człowiekiem. I jest szalony. To obłąkany kosmita w kilcie, który lubi brudne gierki w karty, wielkie pierśi, alkohol oraz wczesnoporanne przebieżki po niebezpiecznych miejskich okolicach.

Zafascynowana patrzę, jak wykonuje całą serię skłonów i rozciągnięć, rozgrzewając mięśnie. Kiedy kończy, już czuję się zmęczona. Kończę również swojego klopsa. Potem Góra biegnie korytarzem, kierując się w przeciwną stronę od windy, a to znaczy, że zapewne skorzysta ze schodów.

Jesteśmy na dziewiętnastym piętrze.

Żałuję, że nie mam numeru do Kellena, bo dowiedziałabym się, kim jest ten psychopata. Ale Kellen i ja jesteśmy tylko sąsiadami pozostającymi w przyjaznych relacjach, a nie przyjaciółmi, którzy robią razem różne rzeczy, więc nie mam szczęścia.

Biorę prysznic, ubieram się, daję Panu Bingleyowi buziaka na pożegnanie, po czym ruszam do pracy. Poranne powietrze uderza mnie w twarz. Od stacji metra dzieli mnie pół przecznicy pieszo, ale mógłby to być równie dobrze półmaraton, zważywszy na to, jak się pocę i rżęzę po dotarciu na miejsce, pomimo zimna. W sypialni mam bieżnię i ciągle obiecuję sobie, że zacznę jej używać, ale obecnie służy głównie jako wieszak na ubrania.

Do biura muszę przejść kolejne pół przecznicy. Wjeżdżam windą na trzydzieste trzecie piętro z Denny, głównym konserwatorem budynku, który przez ostatnie dziesięć lat opowiadał mi najgorsze dowcipy, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Wszystkie bez wyjątku dotyczą puszczenia bąków.

– Starsza kobieta idzie do lekarza – zaczyna jak zwykle bez żadnego wstępu. – Mówi do niego: Mam bardzo wstydlivy problem. Widzi pan, ciągle puszczam bąki. Ale one nie śmierdzą i nie wydają żadnego dźwięku, więc nie przeszkadzało mi to



przez te wszystkie lata. Puściłam już trzy bąki, odkąd weszłam do pana gabinetu.

Denny zerka na mnie, żeby upewnić się, że słucham, a ja kiwam głową, zastanawiając się, czy czasem nie umarłam wiele lat temu w jakimś okropnym wypadku i od tego czasu żyję pomiędzy światami. Serio, to by wiele wyjaśniało.

Denny kontynuuje:

– Rozumiem, mówi lekarz i przepisuje jej jakieś tabletki. Proszę je brać trzy razy dziennie i za tydzień wrócić na kontrolę. Tydzień później kobieta wpada jak burza do gabinetu. Doktorze, co pan zrobił? Odkąd zaczęłam brać te tabletki, moje bąki stały się okropnie śmierdzące. Jeszcze pan wszystko pogorszył! Doktor odpowiada spokojnie: Skoro już wyleczyliśmy pani zatoki, zajmijmy się słuchem.

Mój uśmiech jest naprawdę słaby.

– Dobrze.

– Tak sądzisz? Dzisiaj przy śniadaniu opowiedziałem ten dowcip żonie i uznała, że nie jest śmieszny.

Denny jest żonaty od jakichś stu lat z Phyllis. Nigdy nie poznałam tej kobiety, ale szczerze jej współczuję.

– To moje piętro. Miłego dnia, Denny.

– Do zobaczenia, dzieciaku – woła, kiedy drzwi się otwierają, a ja wychodzę z windy.

Recepcja jest pusta, boksy również. Zdejmuję płaszcz i szalik, usadawiam się na krześle i właśnie ściągam gumowe zaczepy, którymi Portia spięła manuskrypt, kiedy w holu prowadzącym do biur zarządu pojawia się mężczyzna i z wielką pewnością siebie przemierza korytarz, trzymając w ręku kubek. Ma na sobie granatowe spodnie oraz śnieżnobiałą koszulę z odpiętym kołnierzykiem i rękawami podwiniętymi do połowy silnych ramion.

Serce zamiera mi w piersi.

To Michael Maddox, dyrektor generalny Maddox Publishing, najbardziej idealny z żyjących mężczyzn. Kocham się w nim od

dekady. Na moje nieszczęście, jest żonaty. To bardzo dziwne, ale niezależnie od prędkości, z jaką się porusza, Michael zawsze wydaje mi się chodzić w zwolnionym tempie, a delikatna bryza rozwiewa mu włosy, niczym złocistą poświatę wokół jego głowy. Nazwać go pięknym to dla niego uchybienie. Ten facet jest wspaniały. Bóstwo. Jest jak ożywiona rzeźba Michała Anioła. Czarne włosy, szerokie ramiona, błękitne oczy, które mogłyby topić stal, ale głównie roztapiają majtki. W zasadzie jest uderzająco podobny do Supermena.

*I zmierza prosto w moją stronę!*

W pierwszym odruchu chcę się schować. Ale już mnie widział, więc mój plan, żeby wskoczyć pod biurko i zostać tam, aż przejdzie, idzie się paść.

– No witam. – Zatrzymuje się kilka kroków ode mnie, uśmiechając się, a ja mogłabym przysiąc, że słyszę anielski śpiew. – Widzę, że nie jestem jedynym nieszczęśnikiem pracującym w weekend. Jak się masz, Joellen?

Michael pochodzi z Londynu, więc ma ten niesamowicie czarujący brytyjski akcent, który staje się jeszcze bardziej niesamowity, kiedy pieści samogłoski w moim imieniu. Fakt, że on w ogóle je pamięta, sprawia, że cała drzę.

– Dzień dobry, panie Maddox.

*Dzięki ci Boże za to, że brzmię jak istota ludzka, a nie plac zabaw pełen wrzeszczących dzieciaków, którym jestem w środku.*

Wykrzywia usta.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mówiła do mnie Michael?

Prawie mdleję. Nie tylko pamięta moje imię, ale pamięta, że już ze mną rozmawiał. Słodki Jezu, Gwiazdka przyszła wcześniej w tym roku.

– Michael. – Wypowiadam jego imię z namaszczeniem. Aż dziwię się, że z ust nie posypało mi się konfetti w kształcie serduszek. *Nie bądź dziwna! Przestań się na niego gapić! Zamknij usta!*

Spuszczam wzrok, moje policzki płoną. Uświadamiam sobie, że ściskam manuskrypt tak mocno, że pobieleły mi knykcie. Zmuszam się do oddychania, co jest prawdopodobnie najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłam od lat.

– Mam nadzieję, że nie pracujesz zbyt ciężko. – Michael marszczy brwi, patrząc na mój śmiertelny uścisk na manuskrypcie.

Odklejam język od podniebienia.

– To tylko kilka drobiazgów. Chcę nadgonić robotę na przyszły tydzień. – *Kłamstwa, kłamstwa, wszystko to kłamstwa. Jesteś wielką, tłustą kłamczuchą. Ciekawe, czy jego włosy są tak miękkie, jak wyglądają.*

– Cudownie! Uwielbiam ludzi z inicjatywą.

Jego oczy – błękit letniego nieba albo nieodkryty tropikalny raj – śmieją się wraz z resztą jego twarzy. Ma przy nich małe kreseczki, które w jakiś sposób dodają mu urody. W przeciwieństwie do moich, które tylko sprawiają, że wyglądam jak zabiedzona.

– Cóż, a ja uwielbiam przejmować inicjatywę.

Kiedy tylko wypowiadam te słowa, mam ochotę wepchnąć pięść do swoich ust, żebym już nic więcej nie mogła powiedzieć. Jakimś sposobem sprawiłam, że niewinne zdanie zabrzmiało jak propozycja seksualna, a fakt, że idealne brwi Michaela unoszą się, bez wątplenia to potwierdza.

– Czyżby? – mruczy. Brzmi na rozbawionego.

*Dlaczego taka jestem? W myślach zwracam się do wszechświata. Dlaczego nie mogę być normalna? Kiedy zamierzasz spuścić na moją głowę pianino i uwolnić mnie od mojego nieszczęścia?*

Po okropnej chwili, podczas której Michael patrzy, jak moja twarz płonie, a dłonie zachowują się jak wielkie, blade cmy szamoczące się po manuskrypcie, robi mu się mnie żal.

– W takim razie pozwolę ci wrócić do pracy. Może przynieść ci kawę? Właśnie idę do kuchni po dolewkę?

Potrząsam głową, zbyt zażenowana, żeby się odezwać czy choćby na niego spojrzeć.

– W porządku. Na zdrowie. – Unosi kubek na pożegnanie, po czym kieruje się w stronę kuchni. Kiedy tylko znika mi z oczu, padam twarzą na biurko i jęczę.

Nie powinno się mnie wpuszczać do miejsc publicznych.

\*\*\*

Nie widzę Michaela przez resztę dnia. Możliwe, że wyskoczył z okna, żeby uniknąć ponownej rozmowy ze mną. Nie żebym go winiła. Jestem takim nieudacznikiem, że komuś takiemu jak on zapewne ciężko oddycha się tym samym powietrzem.

Kiedy wychodzę z biura, jest ciemno i zimno, zupełnie jak we wnętrzu mojego serca. I kilku innych miejscach na moim ciele. Jestem tak bardzo zatracona w samooskarżaniu się, że wysiadam z windy na moim piętrze, mijając panią Dinwiddle, która stoi w otwartych drzwiach swojego mieszkania.

– Kaczuszek! Kaczuszek! – woła podekscytowanym głosem.

Odwracam się i patrzę na nią, mrugając.

– Dzień dobry pani Dinwiddle. Przepraszam, nie zauważyłam pani. Jestem dzisiaj trochę rozkojarzona.

Macha ręką, w której trzyma kieliszek martini, a drink wylewa się, ochlapując drewnianą podłogę.

– Mam nowinki!

Penelope Dinwiddle jest emerytowaną aktorką teatralną z Yorkshire w Anglii, która odnalazła sławę i pieniądze w szekspirowskiej trupie przemierzającej Europę w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Teraz, już sporo na północ od osiemdziesiątki, nie straciła nic ze swojej aktorskiej natury. Stoi w drzwiach, z czerwoną pomadką na ustach i sztucznymi rzęsami, ubrana w powłóczystą, lawendową szatę i pasujący peniuar, na szyi ma białe boa z piór. Założyła też całą swoją biżuterię, w tym diamentową tiarę, którą podarował jej jakiś pomniejszy saudyjski książę.

Osiem razy była mężatką. Kellen i ja nazywamy ją Elizabeth Taylor z SoHo.

Cała podekscytowana przywołuje mnie gestem. Gdzieś w głębi mieszkania jej filipińska opiekunka, Blessica, ucisza trzy wrzeszczące szpice miniaturowe, które zwa się Fee, Fi i Fo.

– Wiesz, że *Kellen* polecił do *Szkocji* na święta? – Pani Dinwiddle akcentuje co któreś słowo, bo nic jej tak nie mierzi jak nudne przekazywanie wiadomości.

– Nie, nie wiedziałam o tym. Nie rozmawiałam z nim od kilku...

– A jego *kuzyn*, gracz w *rugby*, zatrzymał się w jego *mieszkanie!* Zamienili się, rozumiesz? – Próbuje zaklaskać, ale udaje jej się tylko wylać więcej martini.

Przetwarzam informację. Więc Góra jest graczem rugby. A on i Kellen zamienili się mieszkaniami na święta.

Cudownie. Zważywszy na przedstawienie z ostatniej nocy, czekają mnie tygodnie piekła.

– Blessica wpadła *na* niego dzisiaj *rano*, kiedy szła wyprowadzić *psy*, a on opowiedział jej *całą* historię! Wiesz, jak ona potrafi skłonić *każdego* do mówienia. Powiedziała mi, że to wielki, *przy stojny* gość, ale jej wzrok nie jest już taki jak *kiedyś*, niech ją Bóg błogosławi. I właśnie widziałam go *chwilę* temu, no niech mnie! On nie jest po prostu wielki – jest *gigantyczny!*

Z kieszeni szaty wydobywa chiński jedwabny wachlarz. Otwiera go z trzaskiem i zaczyna wachlować twarz, wywracając oczami w ekstazie na myśl o wielkim, dobrze wyglądającym atlecie mieszkającym na naszym piętrze.

– Tak, jest ogromny. I hałaśliwy. Ledwo zdołałam usnąć przez cały ten harmider ubiegłej nocy – mówię.

Przestaje się wachlować. Zerka na mnie, zaskoczona.

– Harmider?

Właśnie wtedy przypominam sobie, że pani Dinwiddle zaczyna pić codziennie o pierwszej po południu, bo to pora na drinka

w Londynie. Całe jej życie nadal podporządkowane jest czasowi londyńskiemu. Do dziewiątej wieczorem jest już nieprzytomna i leży razem z Fee, Fi i Fo na swoim różowym, satynowym łóżku.

– Nieważne. Tak czy inaczej, chciałam zrobić dzisiaj na kolację lazanie.

Pani Dinwiddle kręci nosem.

– Włoskie?

Powstrzymuję się od westchnięcia. Ponieważ jestem żalosna i nie mam życia prywatnego, zawsze w soboty gotuję kolację dla pani Dinwiddle, ale niestety kilka moich pierwszych sugestii zawsze spotyka się z brakiem entuzjazmu. Diwy zwykle są wybredne.

– A może zapiekanka pasterska?

– Och, *cudnie!* – Rozpromienia się i lekko szturcha mnie wachlarzem. – Nie jadłam jej od *wieków*. Przypomina mi o czasie, kiedy grałam Lady Macbeth w Piccadilly i poznałam tego *postawnego* maszynistę, który uczył się na *kucharza*...

– Do zobaczenia za godzinę – przerywam, zanim rozkręci się z opowieścią o swoim kolejnym chłopaku.

– W porządku, Kaczuszek! Pa!

– Pa – mamrocze, idąc korytarzem, irracjonalnie wściekła, że ta osiemdziesięciolatka ma ciekawsze wspomnienia niż wszystko, co zdołałabym wymyślić nawet w najśmielszych fantazjach.

Moja posucha seksualna trwa tak długo, że to już nawet nie zwykła susza, ale biblijna plaga.

Otwieram drzwi i dostrzegam kota rozciągniętego na środku salonu, jakby zastrzelił go myśliwy.

– Cześć, Panie Bingley.

Nie podnosi głowy, dopóki drzwi nie zatrząskują się za mną. Wtedy skacze na równe nogi, jakby ktoś dotknął go rozgrzanym żelazkiem i patrzy dziko wokół siebie. Dostrzega mnie, udaje, że nic się nie stało, po czym zaczyna wylizywać sobie ogon.

– Nie nabierzesz mnie, kotku. Wcale nie jesteś takim luzakiem. Chodź, pomożesz mi przy kolacji.

Podążyła za mną do kuchni, ale niezbyt szybko. Upewnia się, że wiem, że to był jego pomysł, nie mój.

Karmię go, otwieram paczkę solonych chipsów, żeby przegrzyć coś przy gotowaniu, a potem przygotowuję wszystkie składniki na zapiekanke. Rozgrzewam piekarnik, kroję warzywa i nastawiam w garnku osoloną wodę na ziemniaki. Jestem w trakcie podsmażania jagnięciny, czosnku, marchewek i cebuli, kiedy z drugiej strony korytarza dobiega muzyka.

Zaczyna się nagle i z pełną mocą, jakby ktoś słuchał wcześniej na słuchawkach i nagle wyjął wtyczkę. Wszystkie te ciężkie brzmienia gitar i dudnienie bębnow są tak głośne, że aż drżą szyby w oknach. A potem dobiega mnie głos mężczyzny, który wydaje się należeć do osoby hobbystycznie palącej crack i połykającej żyletki.

*Mam cię znowu, sukinsynu*

*Będę z tobą, sukinsynu*

*Jesteśmy gangsterami, kurwa, do śmierci!*

– Chyba sobie jaja robi – mówię do kota, który mruga wolno w odpowiedzi, jakby mówił: „Najwidoczniej nie”.

Wyłączam palnik, odkładam drewnianą łyżkę i po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin ciągnę swój tyłek przez korytarz, żeby zapukać do drzwi sąsiada.